

# Nie do obrony?



Scena z „Daczy”. Od lewej: Lidka (Anna Lenartowicz), Stefan (Janusz Bukowski), Maria (Danuta Chudzińska), Sąsiad (Jerzy Wąsowicz).

Fot.: Zbigniew Ryngweński

Współczesna dramaturgia przeżywa dobry okres na scenie Teatru Polskiego. Jedna po drugiej, dwie prapremiery rodzimych autorów. Bezpośrednio po „Dworze nad Narwią” Jarosława Marka Rymkiewicza, „Dacza” Ireneusza Iredyńskiego, przy czym ta ostatnia znalazła się na scenie teatru zanim jeszcze opublikował ją „Dialog”. Chwalebna to praktyka Teatru Polskiego, a jego zasługa tym większa, że chodzi o utwory — co tu ukrywać — nie tak znów doskonałe w swojej zawartości i konstrukcji dramatycznej, aby nie pociągało to za sobą sporego ryzyka dla samego teatru.

W przypadku „Daczy”, sędzę, zadecydowała pokusa wynikająca z aktualności jej tematu. Chodzi przecież o na wskroś współczesną sztukę obyczajową, z demaskatorskimi ambicjami, a co również nie jest bez znaczenia — w całkiem realistycznej konwencji. Kim są bowiem postacie, które poznajemy w „Daczy”? On, Stefan, to niezłe sytuowany, zadowolony z osiągniętej pozycji życiowej dziennikarz (prezenter?) telewizyjny. Jego znacznie młodsza żona Lidka, to początkujący naukowiec, doktor socjologii. Ta para, jak przystoi ich sytuacji materialnej, szuka wytchnienia od codzienności we własnej, dosyć komfortowej daczce, położonej w lesie. Odwiedza ich Sąsiad — właściciel innej daczki, niegdyś przedstawiciel władzy, teraz emeryt zajmujący się pisaniem pamiętników. Jest jeszcze Józek, młody „chłopo-robotnik” z pobliskiej wioski, zbliżony na punkcie UFO. W daczce pojawia się nieoczekiwany przez nikogo gość — Maria — dziewczyna, albo jak kto chce — kochanka Stefana sprzed 20 lat. Szybko okazuje się, że Maria jest psychicznie chorą kobietą, cierpiącą na różne urojenia. Jednym z tych urojeń jest... Stefan, mający być tym samym człowiekiem, jakiego znała kiedyś: „Szalonym”, dynamicznym, pełnym fantazji i pomysłów, bezkompromisowym człowiekiem”.

Tymczasem Stefan jest zupełnie inny. Nauczył się w życiu być gietki („Potakiwałem, zapisywałem się gdzie trzeba...”), co zapewniło mu dość eksponowaną pozycję zawodową i towarzyską oraz dostatek; wyzbył się większych aspiracji, zadowolony z tego, co osiągnął; ma swoje problemy z żoną, z którą w gruncie rzeczy kochają się, ma wreszcie daczę — ten prawdziwy dom-azyl, gdzie może być całkowicie sobą. Wystarczy mu „trochę przyjemności, trochę kultury, trochę komfortu”. „Tak naprawdę — powiada do Marii —

to jestem Dacza (...) jestem zneruchomiał, mocno osadzony na twardym gruncie”.

Wszystko zdaje się wskazywać, że w zamierzeniu autorskim leżało wyszydzenie współczesnych „strasznych mieszczan”, a żeby rzecz wypadła ostrzej — bohaterami sztuki są ludzie zaliczający się niejako do „górnej” warstwy inteligencji, to jest tej usytuowanej gdzieś w pobliżu mechanizmów kierowania społeczeństwem. Nie przypadkiem też możemy się domyślać w osobie Sąsiada bardzo wpływowej, ważnej kiedyś osobistości. Kogoś, kto sprawował władzę i tkwi w dalszym ciągu w układach umożliwiających mu spowodowanie, że państwowe przedsiębiorstwo zbuduje w lesie asfaltową drogę dla wygody właścicieli jednej i drugiej daczki.

W materii literackiej szydercze intencje Iredyńskiego wydają się całkowicie czytelne, przynajmniej w pierwszej części. Później sprawa przestaje być tak jasna, a w przedstawieniu w reżyserii Wandy Laskowskiej schodzi jakoby na drugi plan. Sztuka przestaje być wypowiedzią przeciwko czemuś, przeciwko sposobowi bycia, postawom reprezentowanym przez Stefana i Sąsiada, staje się natomiast — interesującą trzeba przyznać i doprawioną pikantnym sosem — historią z życia uderzającą swoją aktualnością. I nie dzieje się to tylko za sprawą teatru, ale przede wszystkim z powodu niekonsekwencji dramaturga.

Przedstawienie Wandy Laskowskiej w bardzo udanej oprawie scenograficznej Barbary Jankowskiej, odracza się daleko idącą troskliwością w stosunku do tekstu, poza jednym i to całkowicie nieuzasadnionym wyjątkiem. Chodzi o scenę miłosnych uścisków Stefana i Marii, do tego na oczach Lidki. Nie ma tego w tekście i nie ma też, w moim przekonaniu, żadnych racji, które usprawiedliwiłyby tę scenę w przedstawieniu. W tym przypadku inwencja realizatorki okazała się po prostu chybiona.

Poza tym rzecz biegnie gładko i sprawnie, w wielu momentach budzi żywy oddźwięk na widowni, tyle tylko, że Stefan, ten podobno niegdyś wspaniały, wiele sobą zapowiadający młody człowiek, który przystosował się, można powiedzieć: „zeszmacił”, zyskując opinię gietkiego konformisty, a jak sam mówi — „dupoliza”, okazuje się w wykonaniu Janusza Bukowskiego całkiem sympatycznym osobnikiem, a w każdym razie nie budzącym do siebie niechęci. Mo-



że w mieście (należy domyślać się: w sycylijskiej) jest on cynicznym cwaniakiem, „lokajem”, ale w takim razie w czasie tego weekendu spędzającego w dacyz poznajemy całkiem innego człowieka. Stefan Bukowski, ten czterdziestolatek na półmetku życia, wydaje się przede wszystkim uczciwy wobec samego siebie. To człowiek raczej trzeźwo patrzący na życie, nieco zrezygnowany, mający, co szczególnie cenne, trochę gorzką świadomość własnej wartości. Przy tym wszystkim, wbrew pozorom, jest troskliwym mężem i razem z Lidką stanowią dobraną, całkiem sympatyczną parę. Lidka — Anna Lenartowicz wydaje się doskonale rozumieć starszego od niej męża, a złośliwości, których mu nie szczeni trudno ocenić inaczej, jak dość niewinne prowokacje kobiety upominającej się o więcej zainteresowania dla siebie. Bardzo dobra w roli Lidki Anna Lenartowicz imponuje opanowaniem i taktem, z jakim próbuje rozładować drażliwe sytuacje, na przykład w rozmowach Stefana z Sąsiadem, a zwłaszcza kiedy przyjmuje wyzwanie i wygrywa słowny pojedynk z Marią.

Ta Maria ze swoimi zaburzeniami psychicznymi, to zresztą raczej postać z całkiem innej sztuki. Jej pojawienie się po dwudziestu latach, a do tego natychmiastowy kontakt miłosny ze Stefanem trąci jakąś fałszywą, niewiarygodną sytuacją. Poza tym Maria ani na moment nie wystawia małżeństwa Stefana na próbę, nie zagraża mu, ani też nie wnosi wiele w ocenę moralnej przemiany, jaka dokonana się w nim w tym okresie. Postać Stefana z jej urojęm, jako opozycja obecnego Stefana nie jest bynajmniej impulsem do takiej oceny.

Owszem, Maria wnosi zamieszanie do spokojnie zapowiadającego się weekendu w dacyz i z całym zrozumieniem śledzimy wysiłki Stefana nad pozbyciem się tego kłopotu. Jesteśmy po jego stronie także wtedy, kiedy z całą brutalnością wyznaje co o niej sądzi.

Niezależnie jednak od tego, że postać Marii pełni w sztuce niezbyt jasną funkcję, broni ją przynajmniej aktorsko Danuta Chudzińska w tej roli. Chudzińska z powodzeniem wybrnęła z trudnego zadania, z umiarem i powściągliwością odsłaniając pogmatwane wnętrza psychiki Marii, nie przejawiając zewnętrznych stanów jej choroby, ale też nie pozostawia wątpliwości, że chodzi o przypadek poważnej dewiacji umysłowej.

Sąsiad — były działacz miał zdaje się posłużyć Iredyńskiemu do zdezawowania pewnej kategorii ludzi i programów, które sobą reprezentowali. O tym, że morale Sąsiada jest co najmniej wątpliwe ma świadczyć sprawa owej drogi asfaltowej przez las. Ale w przedstawieniu znów zamiar jakby nie wychodzi. Sąsiad — Jerzy Wąsowicz jest nie tyle zdymisjonowanym, dwulicowym graczem, ale raczej dobrodusznym starszym człowiekiem, o nieco skostniałym, to prawda, światopoglądzie, nie pozbawionym za to życzliwości dla ludzi. Ani nieszczęsna droga, ani przebijające niekiedy dygnitarskie nawyki, w świetnej zwłaszcza scenie, kiedy odżywa na nowo udając szefa Stefana, nie są w stanie jednoznacznie przekreślić go w naszych oczach. Co więcej — w sporze, jaki toczy ze Stefanem, nie zawsze można mu odmówić racji.

Pozostaje jeszcze Józek wypatrujący uparcie — podlegający do tego przez Stefana — przybyszów z Kosmosu. Wiara w ich przybycie spełnia tu rolę jakiejś nowej idei(?), nadającej sens życiu. Może zresztą należy to rozumieć inaczej? W każdym razie obecność Józka w sztuce zdaje się sprowadzać do postawienia tezy, że w naszych czasach możliwa jest jedynie wiara w istnienie cywilizacji pozaziemskich. Teza to dość karkołomna, ale nawet jeżeli ile to odczytałem, Józek (Piotr Chudziński) jest postacią najbardziej wątpliwą w tej sztuce.

W ostatecznym rezultacie „Dacza” nie jest, jak wspominałem, o powieści przeciwko czemuś, ani tym bardziej (Józek) za czymś. Jest, jeżeli można tak określić dramaturgicznym przyczynkiem do wiedzy o nas samych. To też ma swoją wagę, a w rezultacie powoduje, że przedstawienie spotyka się z zainteresowaniem publiczności.

Z. WRZOS